

Witkacy do czyścica?

„Bezimienne dzieło” w Teatrze Narodowym to przedstawienie efektowne i pięknie skomponowane. A jednak pozostawia w kompletnej obojętności Jacek Wakar, Polskie Radio

Spoglądam do historii wystawień „Bezimienne dzieło” i znajduję niewiele. Wczesne przedstawienie Krystiana Lupy (1982), dwie realizacje Jana Englerta z warszawskimi dyplomantami wydziału aktorskiego. Jeszcze wariacja na temat przygotowana przez Andrzeja Dziuka w Zakopanem. Zapewne sztuka ustępowała w repertuarze miejsca bardziej istotnym dramatom autora „Sonaty Belzebuba”. Co więcej, Witkacy nie ma ostatnimi laty na polskich scenach dobrej passy. Na „Szewcach” przy-



kładowo przewrócił się spektakularnie tej klasy mistrz, co Maciej Prus. Arcydziałnych inscenizacji nie odnotowano.

Jan Englert jednak pozostaje wierny „Bezimiennemu dziełu”. W Narodowym realizuje je po raz trzeci, podkreślając, że przy kolejnych podejściach odkrywa w tym tekście zupełnie nowe rzeczy. W obecnej wersji zobaczył na przykład celnie przepowiedzianą przez Witkiewicza współczesność. „Lęk przed mechanizacją tłumu i umieraniem jednostki, indywidualności, której funkcjonowanie uniemożliwia „szara, bekształtna, lepka masa”, powoli zaczyna nas dopadać” – mówi szef Narodowego i trudno nie przyznać mu racji. Tyle że po tej deklaracji na scenie chciałoby się odkryć coś więcej. Tymczasem przedstawienie streszcza jedynie tę myśl autora. Tyle wiedziałem już przed wizytą w Narodowym.

Jeśli więc warto na „Bezimienne dzieło” jednak pójść, to nie dla odkryć Witkacego ani interpretacji Englerta. Z nimi polemizować trudno, ale ciśnienia krwi nie podniosą. Inscenizacja w Narodowym to przykład widowiska

świetnie skomponowanego, efektownego w obrazach, dopracowanego w szczegółach. Zwycięża niewątpliwie Andrzej Witkowski jako autor przestrzeni oraz Jacqueline Sobiszewski, która wyreżyserowała światła. „Bezimienne dzieło” rozgrywa się w przeważającej części na wielkiej, niemal pustej scenie spowijanej przez dymy i mgły. Światła na przemian pogłębiają tę przestrzeń i ją zwężają, obrazy z tego przedstawienia długo zostają pod powiekami. Do tego jeszcze kostiumy projektu Witkowskiego, idealnie i ostro charakteryzujące bohaterów, oraz spektakularna scena rewolucji, wzmacniana przez pokazywane na filmie sceny współczesnych zamieszek. Englert reżyseruje te trudne momenty dramatu pewnie, wykorzystując możliwości narodowej sceny. Trzeba docenić zatem jego „Bezimienne dzieło” jako widowisko, teatr pełną gębą, a to już wcale nie miało.

Aktorsko przyzwoicie, choć tym razem bez szczególnych eksycytacji. Najbardziej podobali mi się Jerzy Radziwiłowicz i Grzegorz Małecki. Pierwszy zabawnie portretuje służbistę, któremu odebrano wiarę w jego własne idee. Drugi szerokim gestem gra ni to szeryfa, ni gangstera. Tylko po jego Cyndze znać, jak to jest, gdy rewolucja pożera własnych ojców założycieli. Inni wytrawni aktorzy Narodowego zazwyczaj powielają swe dotychczasowe dokonania. Niczego nowego nie dowiedziałem się po „Bezimiennym dziele” o Patrycji Soliman, Dominice Kluźniak albo Beacie Ścibakównie. Wdzięczny byłbym też, gdyby szefowie narodowej sceny doszli do wniosku, że nie wszystkie główne role musi grać na niej Marcin Hycnar. Aktor to znakomity, jednak ostatnio powtarza się niemiłosiernie. Nie jego wina, nie tylko młodym potrzebny jest oddech i dystans.

Wybrzydzam na „Bezimienne dzieło” także dlatego, że po Janie Englercie i jego zespole zawsze spodziewam się więcej niż po innych. Trudno zaprzeczyć, że miejsce Witkacego jest w Narodowym. Tyle że czasem pisarzom dobrze robi kwarantanna, by po niej ludzie teatru na nowo otwierali ich twórczość. Nie zsyłam Witkacego do czyścica artystów, ale to chyba nie jest jego czas.

BEZIMIENNE DZIEŁO | Stanisław Ignacy Witkiewicz | reżyseria: Jan Englert | Teatr Narodowy w Warszawie | premiera 2 marca
